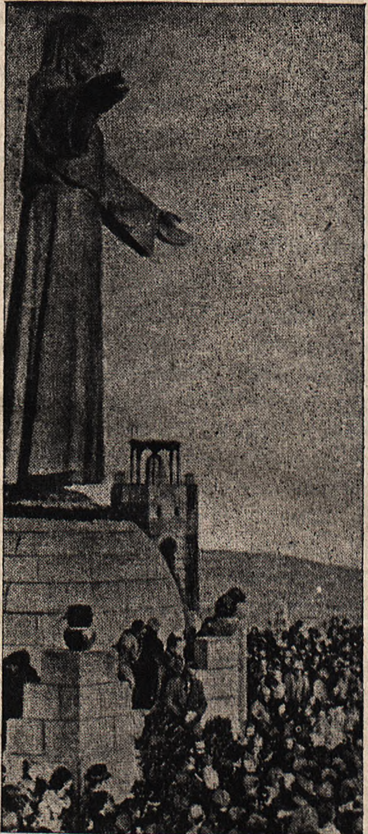
Rok V Tarnów, dnia 4 lipca 1937 r. Nr 27

KRÓLUJ NAM CHRYSTE

DODATEK dla DZIECI



Wspaniały, 8-metrowy posąg Chrystusa-Króla na górze Tibidabo w Barcelonie (w Hiszpanii).

Nasza intencja

Przed dwoma laty przywieziono do szpitala ciężko chorą dziewczynę. Po prześwietleniu okazało się, że ma gruźlicę kości i kość jej w nodze próchnieje. Lekarze dociekali przyczyn tej choroby. Zwierzenia chorej zastanowiły ich i wzruszyły. Przed kilkoma laty odeszła z domu ojca, zamożnego gospodarza na służbę do szpitala — nie celem zarobku — ale dlatego, by mogła usługiwać chorym i nieść im pociechę w cierpieniu. Pracowała kilka lat na oddziale gruźliczym i tam nabawiła się tej choroby.

Ciężki ból znosiła cierpliwie. Określała go tak: — Jak boli ząb, gdy nerw jest odkryty, tak mnie ciągle szarpie w chorej nodze... Po roku cierpienia zabrał ją Bóg do Siebie.

Była jedną z tych pielęgniarek, które spotyka się w szpitalach. Wiecie, Drogie Dzieci, że praca ich jest ciężka, niebezpieczna, odpowiedzialna, wymaga dużo cierpliwości i poświęcenia. Dlatego Ojciec św. polecił nam modlić się w miesiącu lipcu za pielęgniarzy i pielęgniarki tak spośród osób świeckich jak i zakonnych, by mieli siłę spełniać dobrze swoje obowiązki.

Pamiętajcie o tej intencji przy Waszej modlitwie porannej. *r.*

Jak Ignaś wybierał zawód

(Dokończenie).

Całymi dniami przesiewał teraz Ignaś koks lub roznosił po domach ukończoną robotę. Potem powierzono mu poruszanie miecha, rozżarzającego ognisko kuźni. Ach, jak mu się nie podobała ta monotonna praca! Jedynie niedziele były piękniejsze, bo wtenczas po południu biegł na spacer w pole. Tam też raz doszedł do przekonania, że człowiek od pracy się nie wywinie, bo każdy pracować musi.

Wtenczas zaczął przyglądać się robocie uważniej. Szczególnie zainteresował go p. Franciszek, syn majstra, który coś rysował.

— Co pan robi? — zapytał go.

— Rysuję model bramy do kościoła. Musi być piękna. A ty umiesz rysować?

Ignaś był zachwycony rysunkiem. — Nie, nie umiem — odpowiedział — ale chciałbym się tego uczyć...

Było mu coraz smutniej. Przyszła zima. Nocami marzł w mieszkaniu, bo było słabo opalane. Ale w jeden wieczór przyniósł po kryjomu kilka drobnych węgielków i rozpalił je w piecu. Nie chciały go dobrze ogrzać, otworzył więc drzwiczki, aby ciepło szło na izbę. I usnął. Późno w nocy wrócił z dalekiej podróży p. Franciszek. Gdy wszedł do izby Ignasia, uderzył go straszny zaduch. Otworzył natychmiast okno. Ignaś leżał na łóżku sztywny, blady, z siwymi obwódkami koło oczu.

— Zaczadzony! — wykrzyknął p. Franciszek i pobudził w następnym pokoju ludzi. Pan majster pobiegł po lekarza, a on wyniósł Ignasia na podwórze i tu trzeźwił go, stosował nawet sztuczne oddychanie. Pomógł mu w tym lekarz, który nadbiegł i wreszcie chłopiec zaczął oddychać, a nad ranem odzyskał przytomność.

— Coś ty, Ignasiu, narobił! — powiedział p. Franciszek. Nie słyszałeś nigdy o czadzie? Nie uczyłeś się chemii?

— Czyż znajomość chemii jest ślusarzowi potrzebna?

— Naturalnie!

Pan W. zabrał osłabionego synka do siebie. A po wakacjach Ignaś ochotnie poszedł do szkoły. Już wiedział, że nauka mu się w życiu bardzo przyda. *J. J.*

Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje

— Ja rano wstałem, a nic nie mam! — mówił Wacławek.

Na to matka: — Nie zrozumiałeś przysłowia! Wstającemu rano nie przysyła Bóg przez anioła smacznych jabłek, ciastek, a mimo to owo przysłowie jest prawdziwe. Czyż wstawszy rano, nie zyskałeś więcej czasu? To rzecz bardzo droga! Chwile, które byłyby zmarniały w gnuśnym spoczynku, obróciłeś pożytecznie, nauczyłeś się czegoś — nie jest to więc dar Boży?

— Ranne wstawanie wzmacnia zdrowie. Zdrowie dar wielki. Wstawszy rano jesteś czerstwy, żwawy, wesoły — otóż znowu dar Boski.

A cóż, czy zrozumiałeś, Wacławku, że „kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje?"

— Zrozumiałem i zawsze wcześnie wstawał będę. *S. J.*



Przygody małego jeźdźca

— Żaden chyba z was nie umie tak pięknie jechać na koniu, jak ja — chwalił się Piotruś, syn najbogatszego gospodarza we wsi przed kolegami. — Trzymam się prosto jak trzcina...

— Nigdyś się jeszcze nie popisywał — przerwali mu koledzy.

— Ale dziś zobaczycie! Jedziemy do stryjostwa. Poproszę ojca, bym mógł jechać na koniu...

Ojciec istotnie nie mógł się oprzeć prośbie Piotrusia. Jednak obawiając się wypadku, wybrał „wierzchowca" najspokojniejszego i najbardziej leniwego z koni roboczych. Spodziewał się przy tym, że i ten spracowany kasztan da synkowi, lubiącemu nadmiernie się chwalić, porządną nauczkę.

Wyruszyli po południu. Z początku szło wszystko dobrze. Kasztan leciał truchcikiem w tyle za wózkiem. Próżno Piotruś popędzał go biczyskiem, chcąc się zrównać ze starszymi.

Po jakimś kwadransie jazdy ukazała się przy drodze śliczna, zielona łąka. Widok ten zelektryzował wierzchowca. Przyspieszył kroku, przesadził przydrożny rów i nie zważając na nic, zaczął skubać trawę. Nadaremnie Piotruś chciał go zawrócić na drogę. A tymczasem wózek ojca już zniknął za zakrętem...

Nagle na drodze odezwał się turkot wozu i rżenie koni. Wierzchowiec Piotrusia podniósł głowę, chwilę nadsłuchiwał, wreszcie poznał sąsiedzkie konie i odpowiedział im radosnym rżeniem. Potem porwał się z łąki na drogę i popędził w stronę domu za wozem, naładowanym sianem.

Ile wstydu najadł się biedny Piotruś, bo nie mógł konia zawrócić, a ludzie śmiali się z niego. Wreszcie woźnica śmignął dotkliwie kasztana batem i wtenczas udało się chłopcu skierować go w przeciwną stronę.

— Dogonię ojca — pomyślał raźno. Ale jak na złość spracowany koń szedł powoli krok za krokiem.

— Żeby choć szczęśliwie ten most przejechać — pomyślał zmartwiony Piotruś, zbliżając się do rzeki.

Ledwie pomyślał, koń zboczył z drogi, zszedł z niskiego brzegu i zaczął żłopać zimną wodę. Mały jeździec już mu tego nie bronił.

— Nasyci pragnienie i pójdzie dalej — pocieszał się.

Nagle — a stało się to tak szybko — zjechał po szyi konia do wody. Ledwo uskoczył w bok, bo kasztan położył się w potoku, aby ochłodzić się kąpielą.

Piotrusiowi stanęły w oczach łzy z bezsilnego gniewu. Postanowił zrezygnować z wycieczki i jeśli koń wyjdzie z wody, zaprowadzić go piechotą za cugle do domu.

Po chwili wracał smutny, zawstydzony, zmęczony i zmokły, a obok kroczył wierzchowiec, zadowolony że już wracają.

— Zawsze niepotrzebnie się chwalę — mruczał Piotruś, zły na siebie. Żebym choć kolegów nie spotkał...

Niestety. Czekali na skraju wsi. Piotrusiowi zapłonęły policzki rumieńcem wstydu i upokorzenia.

J. J.

Listy dzieci

Okulice k. Bochni. Bardzo już dawno wybieraliśmy się napisać coś o naszej Krucjacie, w której chętnie pracujemy.

Ładnie udało się nam przedstawienie p. t „Mały Apostoł", św. Mikołaj był u nas na zebraniu, graliśmy Jasełka, chłopcy uroczyście uczcili św. Kazimierza. Ale to już wszystko było bardzo dawno. Niedawno zaś mieliśmy w Krucjacie doroczny konkurs. Już od trzech lat jest u nas zwyczaj, że po Zielonych Świątkach wybieramy się do lasu i tam mamy zebranie, a potem konkurs. Dawniej był tylko z katechizmu, a teraz to potrójny — z katechizmu, z deklamacyj i gimnastyczny.

Bardzo te konkursy lubimy, bo są przyjemne i nagrody śliczne. Teraz nawet ci co już z katechizmem się pożegnali, przepraszają się z nim na konkurs. Bo jak ktoś na wszystkie pytania dobrze odpowie, to jedzie do Krakowa — jak pan — za darmo. — A choćby nie na wszystkie pytania odpowiedział, to zawsze jakąś nagrodę dostanie. Tego roku nawet nam czasu brakło — i musimy na drugim zebraniu skończyć. Zebrania mamy co dwa tygodnie. Później napiszemy więcej o naszej Krucjacie.

Pozdrawiamy Szan. Redakcję i wszystkich rycerzy i rycerki. „Króluj nam Chryste".

Rycerze z Okulic.



Głodny hipopotam woła o śniadanie.